

Desperacjonizm czyli kult rozpaczy

Słówo odpowiedzi Henrykowi Berezie piszącemu o "wniebowstąpieniu" Tadeusza Konwickiego z "Twórczości" z marca br. /artykuł pt. "Zstąpienie na ziemię"/. Mianuję tę powieść tak samo jak ja w recenzyjce drukowanej w Życiu Warszawy "książką miesiąca", ale jego krytyka jest polemiką ze mną: zupełnie się z moim zdaniem nie zgadza. Cieszyłaby mnie ta jego niezgoda, gdyby nie to, że sądzi, iż ja chciałem tego wybitnego pisarza uwodzić, i wygląda na to, że on, Bereza, tylko po to swą krytykę napisał, aby Konwickiego przedemną bronić.

Zły to w krytyce literackiej znak - ten strach przed wyraźnym sądem ujemnym, widzie on ~~w~~ bowiem do owijania w bawełnę i wykręcania się sianem /lubię te obrazowe przysłowia!/, do tego powszechnego dzisiaj wymigiwania się od odpowiedzialności za kierunek literatury, słowem: do rezygnacji z ambitnej twórczości krytyckiej. Jakiegokolwiek są tego przyczyny - czy obawa, że zaszkodzi się krytykowanemu autorowi w wydawnictwie, w cenzurze, w Komitecie nagród czy też zwykłe wygodnictwo i względy towarzyskie - zło to jest nie do usprawiedliwienia. Z krytyka robi ^{przez wzięcie} ~~oportunistycznego~~ ^{zobowiązanie autorowi} ~~skrybę~~. Czy można mieć zaufanie do krytyka, który ani razu nikogo porządnie nie zjechał? "Bez taryfy ulgowej!" to hasło winien sobie powieścić nad biurkiem każdy potencjalny następca Irzykowskiego.

Nie piszę tych słów - Boże uchowaj! - pod adresem Henryka Berezy, którego twórczość mało mi jest znana, ale gdyby się uważał za krytyka skierowałby mnie do siebie jako nakaz bezwzględny a pożądanym, jako kat goryczny imperatywu.

Nie uważam się jednak za krytyka, ale za pisarza czytającego czasem także prozę. Nie taję, że ta lektura rzadko mi sprawia przyjemność. Czynkolwiek prawdziwa sztuka jest - nie jest fabrykacją ułudy dla ułudy; "rozkosz bajania" wydawała mi się zawsze satysfakcją niewysoką, taką, co nie bardzo przystoi człowiekowi dorosłemu. To co się zowie fikcją powieściową, przestało mnie bawić od czasu gdy skończyłem szkołę średnią: lektura powieści - jeśli powieść nie jest dziełem sztuki, a więc czymś równym poezji, ale "czytadłem" - nuży mnie i nudzi. Tak czuję i tak myślę, nikomu jednak nie zabraniam czuć i sądzić inaczej.

Dlaczego więc pisuję recenzje w Życiu Warszawy i to głównie o beletrystyce powieściowej? Czynię to z dwóch powodów: ze słabości do pisma, które zwróciło się do mnie z tą uprzejmą propozycją i z wynikającej stąd konieczności. Dobra książka poetycka jest wielką rzadkością. W ciągu roku /i to nie każdego/ pojawiają się nie więcej niż dwa zbiory prawdziwej poezji. Łatwiej więc znaleźć w miesiącu tą prozę, która mniej zniechęca do lektury niż ukazujące się w tym czasie tomiki z wierszami.

Recenzent to jeszcze nie krytyk, lecz sprawozdawca wrażeń z lektury, zapisywacz uwag po pierwszym czytaniu. Bereza jednak, nie wymieniając mojego nazwiska, mówi o mnie per "szczęśliwy krytyk". Ironia dotyczy w tym określeniu nie rzeczownika lecz przymiotnika. "Szczęśliwy krytyk" /tzn. ja/ albo nie przeżył nigdy "udręki istnienia", co jest rzeczą niebywałą, albo uległ przesądowi, że do takiej egzystencjalnej udręki niezdolni są pijacy, bandyci i nicponie. Dlatego to nie podoba się "szczęśliwemu krytkowi" /tzn. mnie/ "wniebowstąpienie", choć przyznaję, że zostało napisane z ogromnym talentem.

A ja powiadam: ogromny talent można zmarnować, jeśli nie jest on w czasie pisania książki kierowany krytyczną myślą; jeśli więc utalentowany autor ulega bezwolnie urazom i niejasnym nastrojom lub jeśli oddaje ten talent w służbę fałszywej propagandzie. Zdolność do fingowania zajmującej fabuły wtedy tylko stwarza coś więcej niż czytadło dla rozrywki, poddające nam wyobrażenie o świecie banalne i naiwne, jeśli ta zdolność wiedzie w końcu do refleksji niebanalnej i nienaiwnej.

Niestety, niestety, Konwicki, którego wielki talent prozatora realisty podziwiam, sięgnął w tej ostatniej swojej powieści po laury nie na miarę jego głowy. Nie pierwszy to raz, kiedy zapragnąwszy być "ideologiem" czy "myślicielem", ponosi klęskę. Milczy się teraz wstydliwie o jego "Władzę", bo i autor wstydzi się z pewnością tej dla propagandy zrobionej fałszywej książki. Nie czytałem jednak nigdzie, żeby się jej "ideologii" wyparł. Nie zrobili tego zresztą, nie powiedzieli pro prostu, że ulegli świadomie błędom i wypaczeniom inni pisarze w "minionym okresie". Nie rozwiązany w ten sposób uraz psychiczny zniekształca teraz ich obraz świata: znika z ich pola widzenia człowiek we współczesnej Polsce rzeczywisty, w prozie ~~zjawiają~~ ^{zjawiają} rówieśników Konwickiego zjawiają się koszmary, nihilści i rozpaczeni, a w wierszach /Różewicz i jego zwolennicy/ straszy się do złudzenia śmiercią i bez przerwy od wielu lat desperuje.

Od lat przeciwstawiam się samotnie temu - tak tę tendencję ochrzciłem - desperacjonizmowi szerzącemu się niepohamowanie i bezmyślnie. Szerzy się ta bezmyślność bo nikt jej nie wytyka - recenzenci udają chyba, że biorą ten kult rozpaczony poważnie i chwają. Chyba tylko Sandauer i Andrzej Wasilewski nie pochwalali tej pozy; bo to modnisiowska poza, przejęta ze źle pojętego

egzystencjalizmu, a nie wyraz szczerych dramatów wewnętrznych. Można wziąć poważnie jeden okrzyk rozpacz wypełniająca całą książkę, ale trudno uwierzyć w rozpacz permanentną. Wiadomo, co najmniej od czasów Freuda, że dzieło sztuki bywa aktem samolecznictwa duchowego: wyraziwszy raz rozpacz, prawdziwy artysta tym samym ją pokonuje. Permenenty desperat, tak jak w życiu, i w sztuce budzi podejrzenie o pozę, efekciarstwo, kabotynizm.

Czy to znaczy, że jestem "szczęśliwym krytykiem", szczęśliwym dlatego, że ubogim duchowo, bo pozbawionym zdolności odczuwania "udręki istnienia", jak to nazywa Bereza?

Szanowni obrońcy Frustratów i Desperatów! Zapamiętajcie wreszcie, co już nieraz mówiłem: Każdy stan duszy ludzkiej ma prawo do artystycznego wyrazu, nie ma takich nizin moralnych, których by nie wolno było odsłonić artyście. Bo-he he! / nie tylko humani nil, ale i animalis nil a me alienum etc. Artysta, co rozumieli różnie klasycy marksizmu, ma prawo do absolutnej swobody w wyborze tego o czym chce a raczej, jeśli jest prawdziwym artystą, o czym musi mówić.

Ale pisarz, jeśli jest nie tylko prawdziwym, ale i świadomym artystą, a więc artysta dojrzały zdaje sobie sprawę z niejednostronności i z wieloznaczności tego co się nazywa rzeczywistością, życiem, światem. Wie, że obok "udręki istnienia" człowiek doświadcza także "radości istnienia" i dlatego właśnie nie popełnia samobójstwa, lecz wytrzymuje wszystko to do końca swoich dni. W wielkich dziełach sztuki spotykamy ludzi, którzy i rozpaczają i radują się, obcujemy więc z ludźmi całkowitymi.

Nie znaczy to, żeby pisarz nie miał prawa do jednostronnego widzenia człowieka, do malowania samych cieni bez promyka światła,

do zajmowania się samymi desperatami, nihilistami i naplewacielami. Tak, tak, - przecież nie każdy szczerzy artysta jest artystą wielkim, romansopisarz - epikiem, dzieła syntezy powstają zazwyczaj dopiero na końcu, jako ukoronowanie żywota pisarza,

Dlaczego więc nie mogę wziąć poważnie i, prawdę mówiąc, śmiesz mi nasz desperacjonizm w poezji i prozie?

Dlatego samego powodu, dla którego śmiałyby się każdy recenzent, gdyby romansopisarz współczesny kazał swojemu Romeo mówić do Julii np. tak: "Ty jesteś jak kwiatek, twoje oczy gwiazdki dwie!". Chodzi więc nie o to, że bohater rozpacza, ale o jakość tej rozpacz, o jej wymiar duchowy, tzn.: z jakiego powodu rozpacza i w jaki sposób tę rozpacz przezwycięża, lub jej ulega popełniając samobójstwo/. Chodzi tu, jak zawsze w literaturze, o odsłonięcie niewyrażonych dotychczas stanów uczuciowych, i towarzyszących im myśli oraz o pokazanie postawy moralnej bohaterów, a nie o powtarzanie ~~trixmów już dawniej lepiej wyrażonych~~ ~~xxx~~ w sentencjach w rodzaju "śmierć przenika przez życie" trizmu już dawno lepiej wyrażonego w zdaniu "robak się łęgnie i w bujnym kwiecie". Jeśli niewiele więcej niż takie "myśli" ma poeta ~~maxxxx~~ do powiedzenia na temat prawdy, że człowiek jest śmiertelny - marnuje papier i musi śmieszyć. Prozaik zaś kopiujący osiągnięte już przez myśl literacką sytuację i ich wymowę etyczną trudzi się na próżno.

Wielki temat "śmierć" /podobnie jak temat "miłość"/ poruszał wiele wielkich piór, ale wśród wielkich nie znajdzie więc dzieła głoszącego absolutną rozpacz, a więc negację wszelkich wartości. Nie znam wielkiego dzieła literatury, które by wzywało do samobójstwa, albo do nieopanowanej nigdy desperacji. Mówiąc o banalnej przecież prawdzie, że życie człowieka kończy się śmiercią, wielcy pisarze mówili jak ma człowiek żyć, skoro musi umrzeć.

Tu tylko, w wizji nowego życia, w projekcie nowej tablicy wartości sprawdza się siła pisarza, który ma ambicję moralisty.

Egzystencjaliści francuscy np. stwierdziwszy absurd w strukturze istnienia, wywiedli z tej zasadniczej dla nich prawdy wniosek jakże inny niż nasi desperacjoniści. Zaproponowali etykę bohaterską /i to tak bohaterską, że chyba niemożliwą/. Człowiek jest absolutnie wolny, nikt nie może go zmusić do przyjęcia tego, czego nie chce, ponieważ zawsze może wybrać śmierć. Tę absolutną wolność powiązał Sartre z całkowitą odpowiedzialnością za to, co człowiek robi, odpowiedzialnością obejmującą wszystko, co się dzieje na świecie. Każde z nas jest odpowiedzialny nie tylko za swoją esencję czy za ostateczny, z końcem życia uwyraźniony los, ale i za stan ludzkiego świata. Każdy nasz wybór przyczynia się do zmniejszenia lub powiększenia wolności człowieka w świecie. Co prawda Sartre nieco inaczej niż Camus, głosiciel etyki człowieka zbułtowanego, nie wskazuje co ta nieograniczona wolność wyboru może wybrać - prócz niej samej, skoro ona, wolność stanowiąc o człowieku, jest najwyższą wartością. Za każdym więc razem wybór uzależniony bywa od obawy, czy tej nieograniczonej wolności nie grozi ograniczenie. Jest więc w postawie Sartra jakaś przesadna trwoga o swoje ja i poddanie się tej trwodze: człowiek Sartra wpleciony jest w błędne koło owej absolutnej wolności obracającej się wokół siebie; jest w jego aksjologii jakieś zanegowane petitio principii.

Wyszedłszy więc ze stwierdzenia nicości, z zaprzeczenia jakoby życie miało jakiś cel, można jednak zaproponować nowy sposób bycia, nową etykę. Od powieściopisarza nie wolno żądać tego, czego oczekujemy od filozofa. Jeśli jednak romansopisarz ma ambicje satyryka czy nawet moralisty tak jak Konwicki we "Wniebowstąpieniu", wolno go zapytać, co odrzuca a co proponuje jako wartość.

Bereza usiłuje wmówić ~~Konwickiemu~~ nam, że "Wniebowstąpienie" Konwickiego ma - jak się to dawniej mówiło jakiś wydźwięk pozytywny. Że jego bandyci i pijaczkowie do czegoś jakby wracali, że z pionowego labiryntu bez zejścia na ziemię /tak jest w powieści Konwickiego/ sejdą do ludzi; że jego główny bohater "odnalazł się we wspólnotie ludzkiej". Twierdzi to Bereza wbrew Konwickiemu zapewne dlatego, żeby go bronić przed zarzutem naplewacielstwa. Po cóż ten fałsz? Czy nie należało powiedzieć po prostu, że pisarz ma prawo do rozpacz i do zwątpienia o wszelkiej wartości humanistycznej. Ale że książka taka, znaczącym dziełem sztuki być nie może, choć w rozwoju myśli moralnej pisarza bywa koniecznym przystankiem w drodze twórczej do dzieł następnych mniej naiwnych, głębszych myślowo lepszych artystycznie.

Trochę mi wstyd, że te oczywistości musiałem tu przywieść na papier. Zmusza ~~me~~ mnie do tego fałszywa czy prawdziwa ślepotą naszej krytyki, choć ani szczęśliwym ani nieszczęśliwym krytykiem nie jestem.